

PIOTR SOBOLEWSKI

SEKRETY

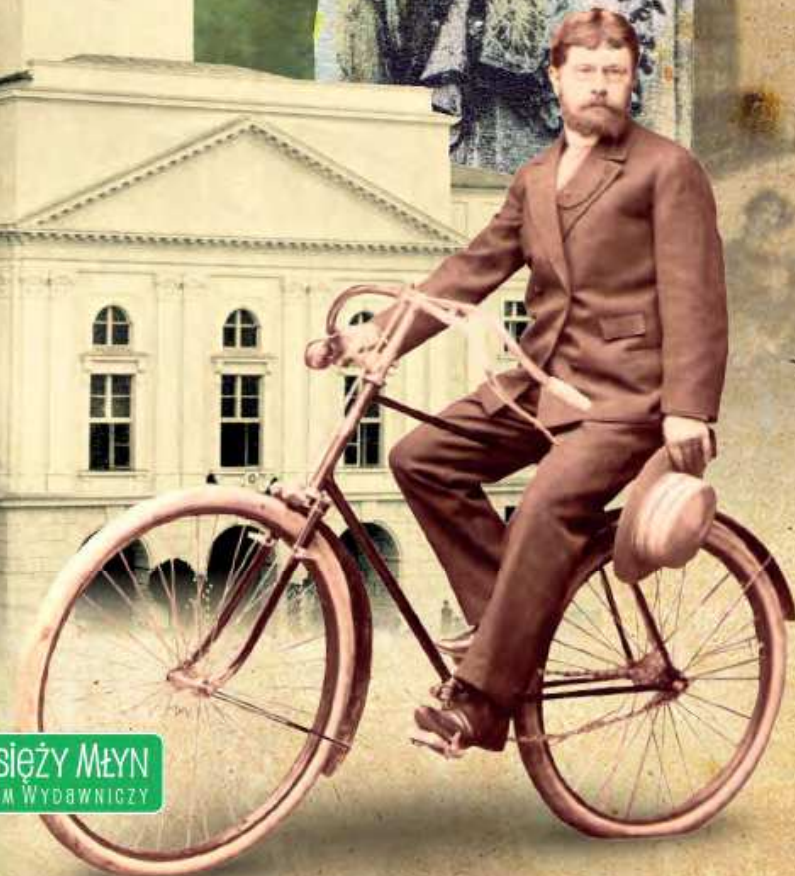
KALISZA



CZYNEM CZŁONKÓW PARTII  
ROZPOCZYNAMY BUDOWĘ  
HOTELU „ORBIS”



CZYM  
SPILĘCZNY  
-CALISIA-



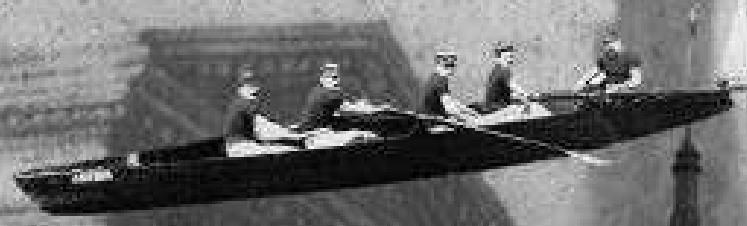
Ksieży Młyn  
DOM WYDAWNICZY

**SEKRETY**

**KALISZA**

PIOTR SOBOLEWSKI

# SEKRETY KALISZA



CZYNYM CZŁONKÓW PARTII  
ROZPOCZYNAMY BUDOWĘ  
HOTELU „ORBIS”



Księży Młyn  
DOM WYDAWNICZY

**Redakcja:**

Aneta Wieczorek

**Wybór i opis ilustracji:**

Tomasz Chlebba

**Projekt okładki:**

Wojciech Miatkowski

**Opracowanie graficzne, skład:**

Alicja Pukaczewska

**Opieka redakcyjna serii:**

Justyna Żurawicz

We wszystkich cytatach zamieszczonych w książce zachowano pisownię oryginalną.

Książki wydawane przez Księży Młyn Dom Wydawniczy mają na celu ukazanie piękna, tradycji oraz historii miast i regionów naszego kraju. Poprzez nasze publikacje pragniemy utrwalać i rozbudzać miłość mieszkańców do swych „małych ojczyzn”

Księży Młyn Dom Wydawniczy – czołowy wydawca książek regionalnych i komunikacyjnych zaprasza do współpracy Autorów mających pomysły na książki związane z miastami, regionami oraz tematami komunikacyjno-transportowymi.

Prosimy także o kontakt osoby posiadające zdjęcia, jak i różnego rodzaju pamiątki nawiązujące do interesujących nas tematów.



*Książki dla ludzi ciekawych*

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2017

Drogi Czytelniku,

książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie.

Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-521-2

**KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński**

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

tel./faks: 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także SMS), gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2017. Wydanie 1

Spis treści

# Spis treści

# Spis treści

## Spis treści

Ponura historia z kaliskiego więzienia	7	Rekord Guinnessa na patyku	88
Comme une dame, Madame Zayontsek?	11	Kaliski Gaukinderheim	93
Z Kalisza w świat	15	I co z tym ratuszem?	97
A w Prośnie życie wesoło płynie	19	Krótki żywot kaliskiego soboru	102
Mroczna przeszłość pana Jasia	24	Dla Polaków dobry tylko Gotard	106
Kankan w „Ogródku” Wypiszczyka	27	Książki w zasypanej Babince	110
Wołanie z kościelnej wieży	31	Matematyka w służbie architektury	113
Ring wolny – drugie starcie	35	Kiedy nie działają Stilterowskie zegary...	117
Kościół nieczynny do odwołania	39	Żłóbek u jezuitów	121
Śmierć Hadrysiówny	43	Jak Feniks	125
Czym tupem padł kaliski obraz Rubensa?	47	Szczypiorniak	130
Upić się warto...	51	Starsze i młodsze historie z Nowego Rynku	134
Światłość wiekuista Repphanów	55	Penitencjarny eksperyment	138
Dla kogo pracował Nowacki?	59	Niebo gwiazdziste nade mną...	142
Śliwnickie love story	63	Cieślak – aktor natchniony	146
Rzecz o jednej z muz Bogusławskiego	66	Spacer wzdłuż rzeki, której już nie ma	149
Zadymy w czasie meczów... szachowych	70	Opowieść z finałem w minorowej tonacji	154
Opowieści znad Proсны	74	Pomnikowe osobliwości	158
Koniec wojny na ulicy Łódzkiej	79	Proszę wsiadać, drzwi zamykać	162
Nowe porządki w kaliskim parku	83	Bibliografia	167





Więzienie w Kaliszu,  
przełom XIX i XX w.

## *Ponura historia z kaliskiego więzienia*

---

Wjeżdżających do Kalisza od strony wschodniej „wita” monumentalny budynek więzienia. Wzniesiony w latach 1844–1846 na ówczesnym przedmieściu, Tyńcu, był najnowocześniejszym zakładem karnym w Europie. Wcześniej funkcje aresztów spełniały w Kaliszu przeróżne miejsca. Swoje karne „lochy” miał zamek, a w podziemiach pierwszego budynku ratuszowego znajdował się areszt, tzw. kielbaśnica. Za karcer służyły niektóre baszty, w tym osławiona kaliska „Dorotka”. Więzienie znajdowało się również w murach klasztoru franciszkańskiego. Na początku XIX wieku na Rynku stanął odwach, przebudowany na okoliczność zjazdu cesarza przez Franciszka Reinsteina, później jednak rozebrany.

W nowo powstałym więzieniu zadbano, żeby jego „lokatorzy” nie czuli się zbyt komfortowo. Zapewniały to pseudoromańska, masywna bryła, malutkie okna i narożne wieżyczki. Tak się jednak złożyło, że w połowie XIX wieku na ziemiach Królestwa Polskiego realizowano założenia gruntownej reformy więziennictwa wdrażanej przez hrabiego Fryderyka Skarbka, który w trakcie podróży po Europie przyglądał się funkcjonowaniu tamtejszych więzień. I oto z jego inicjatywy na terenach ówczesnego Królestwa Polskiego powstało pięć nowych zakładów karnych, w tym kaliski (a także warszawski Pawiak), w których zastosowano „rewolucyjne” rozwiązania. Zamiast dotychczasowych dużych zbiorowych izb wprowadzono system celkowy. W kaliskim więzieniu znalazło się



Personel kaliskiego więzienia, okres międzywojenny

120 małych, zaledwie dwu-, trzyosobowych cel z kanalizacją (niejeden kaliszanin musiał korzystać z wygodki na dworze), bieżącą wodą i centralnym ogrzewaniem. W piwnicach obiektu znalazły się łazienki (kąpiel co dwa tygodnie) i kuchnia. Podobno jeden z budowniczych miał – w dobrej wierze – powiedzieć: „w takim więzieniu to i sam car mógłby posiedzieć”, za co na odpowiednio długo wsadzili... gadułę budowlańca. Wśród pracowników obok 12 dozorców i nadzorcy znaleźli się pedagog, psycholog, a także lekarz i kapelan. Wprowadzono dwa ciepłe posiłki (a w Kaliszu jeszcze wtedy zdarzały się klęski głodu), obniżono ciężar kajdan oraz wprowadzono obowiązek spacerów i innych zajęć rekreacyjnych w jednym z kilkunastu małych ogródków. W 1858 roku przebywało tam 141 więźniów (w tym 21 kobiet), którzy – wobec powyższego – grzeszyliby chyba, gdyby narzekali na warunki odbywania kary.

W okresie międzywojennym do tak „zacnego” obiektu trafił najsłynniejszy przestępca międzywojennego Kalisza, Józef Pacholek. Urodzony w 1890 roku, dorastał w biednej kaliskiej rodzinie – oprócz beztroskich dziecięcych zabaw dość szybko zaczął bardziej pragmatycznie spędzać czas wolny – oddał się drobnym kradzieżom i włamaniom. Z czasem stawały się „mniej drobne” do tego stopnia, że mając już na karku policję musiał raz po raz uciekać za, nieodległą przecież, granicę. Tam podejmował drobne prace dorywcze, ale – przede wszystkim – rozwijał i doskonalił swój „warsztat”. W czasie jednego z takich wypadów zgwałcił dziewczynę i obawiając się policyjnej reakcji, uciekł dalej na Zachód.





Więźniarki na spacerunku kaliskiego więzienia, okres międzywojenny

W ten sposób znalazł się w jednym z belgijskich portów. Zaciągnął się na statek i po kilku latach pływania po świecie (nauczył się wtedy sześciu języków obcych) trafił do Ameryki. Niestety, w Nowym Świecie wrócił do przestępczego procederu. W Stanach były to lata prohibicji, Pachołek zajął się więc głównie przemytem alkoholu z Kanady. Wkrótce stał się członkiem gangu ówczesnego króla nielegalnej sprzedaży alkoholu i przestępczości w ogóle – słynnego Al Capone. „Pod jego okiem” zapewne wydoskonalił przestępczy fach i tak wyedukowany wrócił do Kalisza.

Przez krótki czas próbował żyć uczciwie, prowadząc przy ulicy Poznańskiej sklep kolonialny. Szybko jednak większe perspektywy zarobku dostrzegł w przywłaszczaniu pieniędzy wbrew woli ich prawowitych właścicieli. Skompletował bandę, do której oprócz brata Kazimierza zwerbował Franciszka Maćkowskiego, i w trójkę, zamaskowani damskimi pończochami, dokonywali coraz bardziej zuchwałych napadów rabunkowych. Ich ofiarami byli najczęściej polscy i żydowscy właściciele sklepów: przy ulicy Stawiszyńskiej i w Piwonicach na obrzeżach miasta, ale i na Nowej (tak dawniej nazywała się część ul. Złotej) w samym niemal centrum Kalisza. Kiedy na ulicy Ciasnej ciężko ranili policjanta i krąg śledztwa zaczął się niebezpiecznie zacieśniać, przenieśli się ze swoją przestępczą działalnością w teren. W czasie jednego z takich wypadków zabili w Giżycach koło Grabowa miejscowego proboszcza. Kilka dni później na drodze z Raszkowa napadli na powracających z jarmarku żydowskich kupców. Przypadkowo znalazło się tam

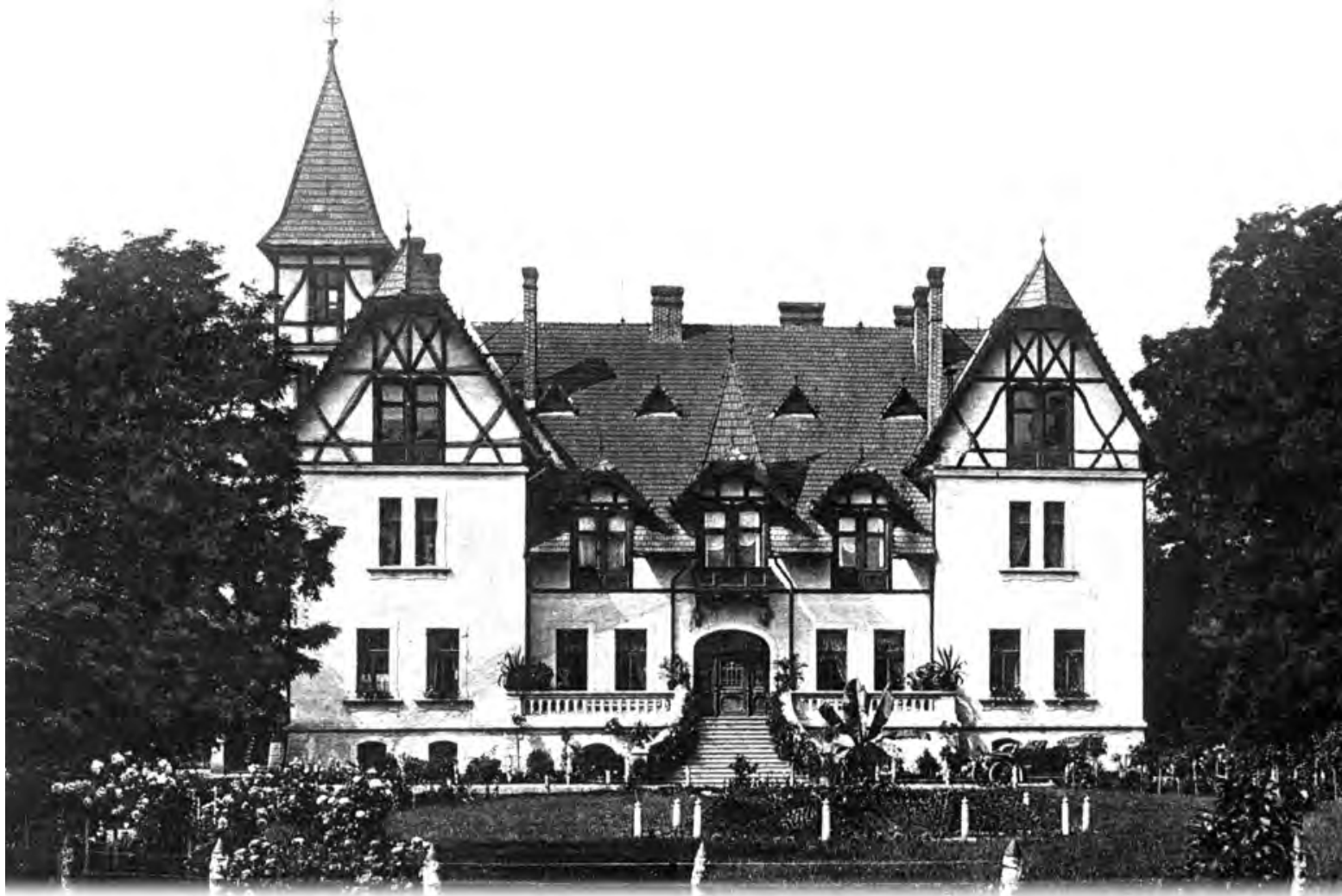
dwóch strażników granicznych i wywiązała się strzelanina. Józef zabił jednego z policjantów, mimo to bandzie nie pozostało nic innego, jak wskoczyć na jedną z furmanek i – nim przybyła zwabiona leśną kanonadą odsiecz stróżów prawa – zniknąć wśród drzew.

Lecz wkrótce ich dobra passa się skończyła. W wyniku policyjnej obławy Pachółkowie i Maćkowski zostali aresztowani i po zaledwie kilka dni trwającym procesie osądzeni. Kazimierz Pachółek i Franciszek Maćkowski otrzymali wyroki długoletniego więzienia, natomiast herszt bandy, Józef Pachółek, został skazany na karę śmierci. Łaski nie okazał mu też prezydent Ignacy Mościcki. 14 czerwca 1932 roku o godzinie 0.54 w szubienicy ustawionej na dziedzińcu kaliskiego więzienia kat uruchomił dźwignię zapadni.

Owa zapadnia pomagała również w czasie II wojny światowej niemieckim okupantom pozbywać się wrogów Rzeszy, zadziałała też kilkakrotnie jeszcze po wojnie. W kaliskim więzieniu stracono działaczy antykomunistycznych, uczniów Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki: Ziemowita Glabiszewskiego i Stanisława Spaleniaka, a także przestępcę Stanisława Grzesia, który dokonał zuchwałego mordu konwojentów wiozących wypłatę do jednego z podkaliskich zakładów. Wówczas (lata 50.) były jakże inne standardy bezpieczeństwa – stojący przy drodze Grześ najzwyczajniej w świecie zamachał ręką, a szofer furgonetki, którą wiozł naprawdę duże pieniądze, grzecznie się zatrzymał. Ofiarą przestępcy padło pięć osób, w tym będąca w ciąży kasjerka firmy. Grześ został schwyty, osądzony i stracony w Kaliszu, choć połowy łupu nie odzyskano. Ludzie mówią, że zaopiekował się nią ktoś z firmy, ktoś, kto zlecił robotę, a Grześ kompana nie ujawnił – honorowo czy w nadziei, że jednak uniknie stryczka?

Nie jest też wyjaśniona sprawa egzekucji Samuela Fernbacha, gwałciciela i zabójcy dwóch niespełna kilkunastoletnich dziewczynek. Po dokonaniu – w samym centrum miasta – zbrodni ciało jednej z ofiar psychopata zabetonował w piwnicy, kolejne wrzucił do kloaki. Został schwyty i skazany na śmierć, ale wykonanie wyroku jest już owiane tajemnicą. Według dokumentacji takiej egzekucji w Kaliszu nie było, pojawiły się więc spekulacje o wykupieniu Fernbacha przez tajemniczych możliwych protektorów. Prawda jest jednak inna – sprawiedliwości stało się zadość, a egzekucji zwyrodnialca dokonano w Poznaniu w lipcu 1971 roku.

Dreszczyku emocji, na szczęście już nie z tak krwawym tłem, dostarcza obecne zamieszanie związane z budynkiem więzienia. W 2015 roku z powodu zbyt wysokich kosztów remontu obiektu, podlegającego opiece konserwatora, kaliskie więzienie zostało definitywnie zamknięte, a obiekt przekazano miastu. Przyszłe przeznaczenie kaliskiego więzienia pozostaje wciąż wielką niewiadomą.



Nieistniejący już pałac Schlösserów, który na początku XX w. stanął w miejscu dawnego pałacu Zajączków

## *Comme une dame, Madame Zayontsek?*

Wśród podkaliskich wiosek znaleźć można kilka o dość oryginalnych nazwach, które kojarzą się raczej ze skwarnym Egiptem niż z wielkopolskimi słotami. Szukanie etymologii tych nazw wymaga przeniesienia się 220 lat wstecz pod egipskie piramidy i odszukania tam wśród żołnierzy napoleońskich generała Józefa Zajączka. W uznaniu zasług cesarz darował mu w okolicach Kalisza spory majątek, na którego terenach Zajączek założył nowe wsie. Dwie z nich, w dowód wdzięcznego wspomnienia, nazwał Aleksandrią i Fajum, kolejną – również w ramach sentymentów – Raclawicami, a jeszcze inną, już może mniej skromnie, Zajączkami. W Opatówku, będącym centrum jego dóbr, zbudował pałac zaprojektowany przez Chrystiana Aignera. Można by sądzić, że wdzięcznym admiratorem i „dłużnikiem” Napoleona pozostanie do końca życia. Czy rzeczywiście?

Zajączek urodził się w 1752 roku w Kamieńcu Podolskim. Na wojaczce spędził w sumie 44 lata, choć – jak to uszczypliwie określił Andrzej Sowa – „ta imponująca ilość nie zawsze przechodziła w jakość”. W wojnie polsko-rosyjskiej 1792 roku brał udział w bitwie pod Zieleńcami, za co jako jednego z pierwszych odznaczono go Orderem Virtuti Militari. Jego postać umieścił Matejko na swoim obrazie *Kościuszko pod Racławicami*, choć w bitwie tej Zajączek nie spisał się zbyt dobrze. W bitwie warszawskiej dowodził – znów bardzo nieudolnie – obroną Pragi, co zresztą zakończyło się dokonaną przez Moskali rzezią jej mieszkańców. On sam został uwięziony i przewieziony do Galicji, do twierdzy Josephstadt (dziś znajduje się w Czechach), skąd w wyniku starań małżonki został wiosną 1796 roku zwolniony.

Udał się do Francji. Tam piękna Aleksandra dbała o męża – dzięki znajomości z Józefiną Bonaparte załatwiła mu skierowanie do sztabu Armii Włoch, której wodzem był Napoleon. Wraz z nim rok później Zajączek trafił pod egipskie piramidy. Tam też zyskał swój przydomek „Generał Arbuz”, który zawdzięczał ponoć swoim specyficznym upodobaniom kulinarnym, ale i zdolnościom handlowania tymi owocami. Nie zaniedbał jednak wiernej służby Napoleonowi i... swojej kariery wojskowej. Po powrocie do Europy w 1806 roku uformował Legię Kaliską i dowodził nią w kampanii pruskiej. Tym razem dał się poznać jako doskonały organizator. W efekcie nie dość, że został mianowany generałem dywizji, to w dodatku Napoleon przyznał mu w uznaniu zasług żołnierskich liczne ordery i spore podwyżki żołdu (o co Zajączek zabiegał), a także nadał mu między innymi Zawodzie, Rypinek i Stare Miasto (dziś dzielnice Kalisza) oraz wspomniane dobra ziemskie w kluczu opatówce. Pozostał też chyba we wdzięcznej pamięci Francuzów, skoro jego nazwisko odnaleźć można na Łuku Tryumfalnym w Paryżu.

Potem nadeszła nieszczęsna kampania moskiewska. Podczas odwrotu przez Berezynę Zajączek został ranny. Jego zachowanie w trakcie przeprowadzonej „na żywca” amputacji nogi miało wprawić w zachwyt samego Napoleona. Wkrótce jednak generał dostał się do niewoli rosyjskiej, a Francuzi przegrali ostatecznie wojnę. W postawie Zajączka dokonała się wtedy nie pierwsza, ale tym razem najbardziej spektakularna wolta. Przyjął oto postawę służalczą wobec cara Aleksandra I. Ten zaś w 1815 roku mianował go („bez uprzedzenia, »na wsiadany«”) namiestnikiem Królestwa Polskiego (choć pewnym kandydatem był wtedy Czartoryski), a trzy lata później obdarzył tytułem książęcym. Zajączkowie wprowadzili się do warszawskiego Pałacu Namiestnikowskiego, gruntownie zresztą wówczas przebudowanego przez... Aignera. Chichotem historii jest fakt, że dziś przed pałacem stoi pomnik Księcia Józefa Poniatowskiego, którego Zajączek przez całe życie szczerze nienawidził. Okołołalskie dobra oczywiście także zachował, w Opatówku spędzał zresztą dość dużo czasu, przyczyniając się do dynamicznego rozwoju tego miasteczka. Sprowadził fabrykancką rodzinę Fiedlerów, którzy zbudowali potężną fabrykę sukna. Budynek fabryki



**Aleksandra Zajązek,  
z domu de Pernet**



**Generał Józef Zajązek**

stoi do dziś, mieści się w nim unikalne Muzeum Historii Przemysłu. Dzięki Zajączkowi zyskał też sam Kalisz. To jemu zawdzięczał pałac dla Komisji Wojewódzkiej i nowe nabrzeże nad Babinką, a przede wszystkim znaczne ulgi dla fabrykantów, licznie wówczas osiedlających się w tym mieście. Mniej szczęścia miał sam pałac generała w Opatówku. Po przebudowie stracił swój elegancki charakter, a pół wieku temu ostatecznie spłonął. Pozostały fragmenty folwarku, piętnastohektarowy park z ozdobną bramą i najstarszym w Polsce (a może i w Europie) żeliwnym mostkiem z 1824 roku. No i jest tzw. cukiernia, czyli neogotycki budynek z umieszczonym na nim herbem Zajączków – Świnką. O tym herbie krążą ciekawe historie. Jedna z nich opowiada o tym, jakoby dla ratowania zagrożonego życia noworodka umieszczono go w rozplątanych wnętrznościach biednego prosiaczka. Bardziej nobilitująca wersja mówi o herbie nabytym od sarmackiej Amazonki. Historie związane z herbem Zajączka puentuje ironicznie dwuwiersz: „Oto jest sternik nieszczęsnego kraju – zajązek z ducha, świnka z obyczaju”.

Swoją żonę, Aleksandrę de Pernet, Zajązek poznał na dworze Branickiego. Od razu zapalał miłością do urodziwej, dwa lata młodszej od niego, dawnej primabaleriny w balecie dworskim. I postanowił ją poślubić. Był tylko jeden problem – Aleksandra miała już męża. Kilka lat wcześniej wyszła za lekarza Jana Klemensa Branickiego, doktora Isaure, i miała z nim dziewięcioletniego już wówczas syna. Ale cóż to za przeszkody? Siła miłości

(mniej romantyczni powiedzą: wpływy Zajączka w Rzymie, godziwe wynagrodzenie szkód moralnych doktora) sprawiła, że związek został unieważniony, doktor z synem wyjechali do Paryża, a była baletnica Aleksandrina w 1786 roku została, chwaloną za niezwykłą urodę i inteligencję, panią Zayontsek.

Po ślubie Pernetka wiodła życie stateczne, by nie rzec nobliwe. Mąż zaś mimo inwalidztwa brylował na salonach, oczarowywał damy, a nowych „przyjaźni” nie wahał się... konsumować. Romansował (choć niektórzy twierdzą, że „nie przekroczył granic towarzyskiej zalotności”) między innymi z Klementyną z Koziatulskich-Walicką (wówczas ciężarną), kupił jej nawet dom. Nie odpuścił też służącej i miał z nią nieślubne dziecko. Żona tymczasem czekała na swojego Żo cierpliwie albo w warszawskim, albo w opatóweckim pałacu. Poddawała się tam zapewne rozmyślaniami o wiarołomności rodzaju ludzkiego i... swoistej krioterapii. Walczyła w ten sposób skutecznie z upływającym czasem: według współczesnych, mając 65 lat, wyglądała jak dwudziestoletnia kobieta i była obiektem nieskutecznych awansów oficerów, z których wielu mogłoby być... jej wnukami. Dąsał się na nią wielki książę Konstanty, który w zemście do liczby zamówionych przez Aleksandrę w Paryżu 10 sztucznych biustów (staników, gorsetów) dopisał złośliwie w przechwyconym zamówieniu zero, skutkiem czego pani Zajączkowa otrzymała wyjątkowo pokaźną przesyłkę.

Poważniejszy związek łączył ją ponoć jedynie z młodszym od niej o 40 lat Wojciechem Grzymałą, ale ten wkrótce porzucił ją dla George Sand (dzięki temu poznała również Chopina). W 1836 roku (miała wówczas prawie 80 lat) poznała Balzaka, który ocenił według urody jej wiek na 35 lat. Tajemnicę takiego wyglądu wyjaśnia po części tryb życia Aleksandry. Swoje ciało „konserwowała” zimnem: nigdy nie brała do ust gorących potraw, żywiła się jarzynami, mlekiem i owocami, sypiała w nieopalanym pokoju i nie zapalała świec dla „zaszanowania” cery, pod łóżkiem stały naczynia z lodem, miała wanny z zimną wodą do rannej kąpieli, na noc ponoć obszywała się w sarnią skórę, o świcie udawała się na półmilowy spacer. Złośliwi dopatryli się jednak, że świeży wygląd skóry zawdzięczała też cienkiej warstwie... wosku. Zmarła po 94 latach życia cnotliwego, ale i dostatniego dzięki sowitej dożywotniej rencie po mężu (przeżyła go bowiem o ponad 20 lat). Pochowano ją w Warszawie w kościele oo. Kapucynów.

Generał zmarł w 1826 roku. Po jego śmierci z polecenia cara Mikołaja I ogłoszono trzydniową żałobę. A zatem – czczony przez Francuzów, opłakiwany przez Rosjan. Polacy oceniają Zajączka surowiej, a określenia: „odważny koniunkturalista”, „zajączek, z którego car zrobił królika”, „ćwierćkról beznogi”, „rywal najwrażliwszych kameleonów” czy „sługa wielu panów” należą do... najbardziej dyplomatycznych. Generał, po zwyczajowym złamaniu szabli, pochowany został w Opatówku w kaplicy św. Anny tamtejszego kościoła, zaś serce znajduje się w kościele Bernardynów w Warszawie. Inne jego doczesne części spoczywają też na Powązkach.



Grupa odkrywców z tubylcami.  
Drugi z prawej stoi Stefan Szolc-Rogoziński, 1885 r.



Stefan Szolc-Rogoziński,  
1860 r.

## Z Kalisza w świat

Przechodzący obok jednej z kamienic na kaliskim Rynku zadzierają głowy i przyglądają się medalionom przedstawiającym cztery wybitne postaci związane z Kaliszem. No tak – kiwają głowami – Asnyk, Konopnicka, Dąbrowska. Wiadomo. Ale kim jest ten facet z brodą?

Urodził się 14 kwietnia 1861 roku w Kaliszu. Był synem przemysłowca Ludwika Scholtza i Malwiny z Rogozińskich. Wbrew woli ojca skończył szkołę marynarki wojennej w Kronsztadzie, został mianowany oficerem floty rosyjskiej i na pokładzie krążownika „Generał-Admirał” opłynął dookoła Afrykę. Zainteresował się mało znanymi wówczas krajami Afryki Równikowej i wkrótce rozpoczął przygotowania do samodzielnej tam wyprawy. Kiedy ojciec odmówił mu pomocy („drobnych” 10 tys. rubli), zainkasował swoją

część spadku po matce i – niczym syn marnotrawny – wyruszył w świat. Niewykluczone, że właśnie to ojcowskie skąpstwo było przyczyną ewolucji nazwiska, jakiego używał: ze Scholza na spolszczone Szolc, następnie Szolc-Rogoziński, a nawet jedynie matczyne: Rogoziński. Stefan Szolc-Rogoziński, bo o nim tu mowa.

Jednak nie tylko zacny stary Scholz z dystansem patrzył na synowskie fanaberie (zwłaszcza że w końcu zgodził się je częściowo współfinansować). Po opublikowaniu w „Wędrowcu” planu podróży rozgorzała niemal ogólnonarodowa dyskusja. Celowość ekspedycji dostrzegali między innymi Wacław Nałkowski, Bolesław Prus i Henryk Sienkiewicz. Ten ostatni przeznaczył na wyprawę cały dochód z kilku swych odczytów. Ale byli i przeciwnicy idei. Pomysł rejsu wykpił Aleksander Świętochowski. „Nawet gdybym był krezusem – napisał – ze stu milionów rubli nie dałbym pięćdziesięciu kopiejek na tę wyprawę”.

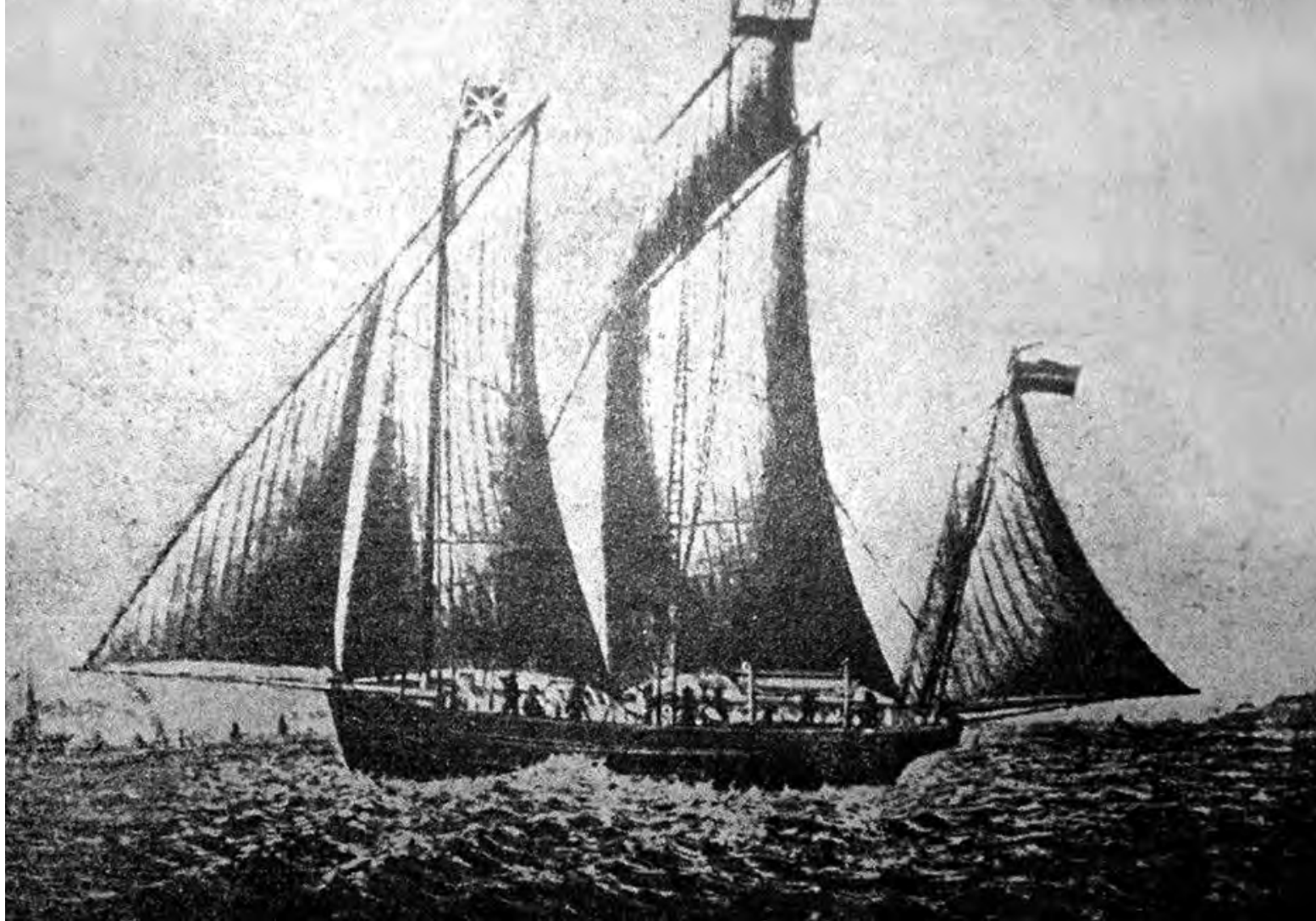
Ostatecznie jednak Rogoziński zakupił dwudziestoletni już statek „Łucja-Małgorzata” i pod banderą francuską, ale z Syrenką (symbolem polskości, zastępującym banderę biało-czerwoną), wypłynął nim z Hawru we Francji. Po kadrowych perturbacjach ostatecznie towarzyszyli mu Klemens Tomczek i Leopold Janikowski. Z przygodami dobili do wybrzeży Zatoki Gwinejskiej, a w maju 1883 roku na Mondoleh założyli stację naukową z biało-czerwoną flagą na maszcie. Na kameruński ląd robili wypady, których znaczenia nie da się przecenić. Sporządzili mapy tamtych terenów, raz po raz wysyłali do Krakowa i Warszawy skrzynie pełne ciekawych eksponatów. Za prezenty kupili kawałek terenu i zawarli układ z kacykami, na mocy którego Rogoziński otrzymał na własność kawałek... wybrzeża.

Ale te sukcesy przeplatały się z porażkami. W maju 1884 roku umarł na malarię Tomczek. Okręty wojenne Wilhelma II krążyły w pobliżu, a niemiecka prasa intrygowała przeciwko podróżnikom. Kiedy cesarz chciał objąć protektoratem wybrzeże Kamerunu, Rogoziński (w którego żyłach – jakby nie było – płynęła także niemiecka krew) pośpiesznie zawarł układ z angielskim konsulem w sprawie przekazania swych terytoriów pod protektorat Wielkiej Brytanii. Symboliczna decyzja Rogozińskiego pozostała jednak tylko symbolem. Wkrótce Anglicy i tak zrezygnowali z Kamerunu na rzecz Niemiec, a Rogoziński stał się tam osobą *non grata*. W tej sytuacji Polacy wrócili do kraju.

Ale nad Zatokę Rogoziński powracał jeszcze kilkakrotnie. Na hiszpańskiej wyspie Fernando Po (obecnie Bioko) założył plantację kakao. Ale ponieważ zbiory były liche, niedopilnowane uprawy nie przynosiły spodziewanych zysków, plantacja zbankrutowała.

A co zamiast pilnowania biznesu tak zaprzętało głowę podróżnika? Oczywiście miłość. Po pierwszym powrocie do kraju poznał warszawską literatkę (nazwaną niestety przez krytyków „kulawym pegazem”) Helenę Boguską, piszącą pod pseudonimem Hajota. Oświadczył się, został przyjęty i... wyjechał na swoją plantację. W 1888 roku





Statek „Łucja-Małgorzata”, na którym Stefan Szolc-Rogoziński wyruszył do Afryki, 1882 r.

nieoczekiwanie przyjechał do Warszawy i w sierpniu „kacyk” z „wieszczątkiem” stanęli na ślubnym kobiercu. Po miodowym miesiącu Rogoziński znów popłynął na Fernando Po, wkrótce przybyła do niego żona. Z notatek Hajoty wylania się idylliczny obrazek: „Mój ukochany dogadza mi, jak może, i nigdy nie jest tak uszczęśliwiony, jak kiedy widzi, że coś ze smakiem papusiam”. Ale sielanka trwała krótko. Stefan był rozdarty między wymagającą żoną a jeszcze bardziej wymagającą plantacją. Wprawdzie na wyspę przybył na krótko z odsieczą brat Teodor, ale – zdaje się – swą „pomoc” skierował zdecydowanie bardziej na ten pierwszy odcinek braciszkowych zaniedbań. Jak wnikliwie zdiagnozowali relacje między małżonkami Anna Tabaka i Maciej Błachowicz: „Kiedy mgła zauroczenia opadła, kochankowie zobaczyli siebie w mniej kolorowych barwach: Stefan Hajotę jako rozkapryzoną, skorą do flirtów awanturnicę, Hajota Stefana jako irytującego bucyfona”.

Teodor odwiedził brata na krótko przed swoją śmiercią, a dwa lata po tragedii w Landeck (mógł to być dzisiejszy Łądek-Zdrój lub – jak twierdzi jeden z badaczy – miasto w Bawarii). Przebywający tam dla poratowania zdrowia bracia – Emil i Teodor – zakochali się w tej samej dziewczynie. Kiedy ta nie potrafiła dokonać wyboru, młodzieńcy postanowili się pojedykować. Zdecydowali się na pojedynek „amerykański”: Emil wylosował

czarną kulę i honorowo strzelił sobie w głowę. O historii tej przypomina pieczęć z napisem „Landeck”, umieszczona na trumnie Emila, złożonej w krypcie okazałej kaplicy grobowej Repphanów i Scholzów na kaliskim cmentarzu ewangelickim.

W 1891 roku Rogozińscy powrócili „z małpką tylko i psem” do kraju. Onegdajsze wieszczątko stało się nagle „gadem obrzydłym, nieszczęsną zmorą” i skłoniło rodzinę męża do ubezwłasnowolnienia „niepoczytalnego” wariata i umieszczenia go w zakładzie dla nerwowo chorych w Krakowie. Rogoziński jednak uciekł stamtąd. Wydarzenie opisała Magdalena Samozwaniec: „W liście proponował kuzynce [Marii Wojciechowej Kossakowej], aby tego a tego dnia zajechała późnym wieczorem swoimi końmi pod mury zakładu, przez które on się przedostanie chyłkiem, i w ten sposób ułatwi mu ucieczkę”. Wkrótce podróżnik wrócił do Kalisza i zatrzymał się w Hotelu Wiedeńskim przy ulicy Garbarskiej. W najbliższą przyszłość nie patrzył optymistycznie. „Pobyt kaliski będzie istnym czyścicem – pisał w dzienniku. – Oby był jak najkrótszy [...] Najwstrętniejsze, co mnie spotkać może: widok i prawdopodobne awantury tej larwy...”

Do pierwszego przypadkowego spotkania doszło wkrótce w Rynku. „Nadchodzący akurat żebrak był mi na rękę bardzo i odwracając się w jego stronę z kilkoma kopiejkami, minąłem ją [Hajotę] – lecz któż opisze niesmaczne wrażenie, gdy ta zmora nagle głośno woła »To mój mąż!«”. „Zmora” szła za nim aż do hotelu. Chwilową porażkę Helena zrekompensowała sobie komentarzem na temat rzekomego romansu męża z „hotelową myszką”: „Stefanie, jak ty upadłeś! Zostałeś amantem subrettek!” Kolejna runda „pojedynku” (któremu z wyraźną uciechą kibicowało pół Kalisza) rozegrała się w parkowej kawiarni u Wehnera. „Zjawiała się H-a ubrana wiosennie i (wszystkiego plus 9 stopni ciepła o 12-tej) kazała sobie dać porcję lodów. (Na werandzie do tego przy silnym wietrze)”. Małżonek w końcu zrejterował z lokalu.

Spotkanie u rejenta było już tylko formalnością (choć na ich sporze nieźle zarobiło kilku kaliskich prawników). Spóźniając się na tyle, aby jej pojawienie się miało większy efekt, Hajota weszła „w czarnych jedwabkach, przy charakterystycznym akompaniamentcie »szumiącej« jedwabnej spódnicy”. Stefan żalił się: „targowała się jak ostatnia szachrajka, wymyślała i na przemian wpadała w patos o procenta”. Dostała niemal tyle, ile zamierzała, zrzekając się za to wszelkich praw do reszty (skromnego już wówczas) majątku Stefana. „Zgrzytnęły pióra – i było fini” – zapisał chyba z ulgą Rogoziński.

Dwa lata później z planami dalszych wypraw badawczych wyjechał do Paryża. Tam jednak 1 grudnia 1896 roku zginął pod kołami omnibusa. Pochowany został na Montparnasse, dziś miejsce jego grobu z trudem odnajdują tam tylko fani tej nietuzinkowej postaci. W rodzinnym Kaliszu rok 2017 ogłoszono (z racji w miarę okrągłej rocznicy pierwszej wyprawy podróżnika do Kamerunu) rokiem Rogozińskiego, co stało się przyczynkiem do podjęcia kilku projektów związanych z kaliskim odkrywcą.